

WIKTORIA
GISCHE

ROZDZIELIŁO
NAS ŻYCIE

© Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Lidia Kozłowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3576-8

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Berlin, 2008

Siedzieli na wygodnych kanapach w przestronnym pokoju, którego jasne ściany, w kolorze złamanej bieli, miały uspokajać. Żadnych mocnych kolorów. Broń Boże czerwieni czy intensywnego fioleto, które ostatnio lansowano jako kolory eleganckie, pasujące do pomieszczeń luksusowych. Pewnie architekt mógłby się pokusić o ściany w kolorze głębokiej zieleni, takim, jaki kojarzył się z gabinetem w angielskim dworku, ale oczywiście wówczas byłoby ciemniej, a tak w ciągu dnia potrzeby oświetleniowe zaspokajało światło wpadające do pokoju przez wysokie okna.

Starsza pani, nosząca się modnie i można by powiedzieć z lekkim pazurem, zamiast wełnianego swetra ubrana była bowiem w sportową bluzę z kapturem i wygodne klasyczne jasnoniebieskie dżinsy, które zestawiała z jeszcze wygodniejszym sportowym obuwiem, z zajmowanego miejsca przyglądała się zawieszonym na ścianach zdjęciom. Fotografie ukazywały dom, w którym na przestrzeni wielu dekad mieściła się kancelaria adwokacka. Pierwsza z nich, nieco wypłowiała, została wykonana pod koniec XIX wieku, zapewne niedługo po tym, jak postawiono budynek. Kolejne robiono średnio co dwa dziesięciolecia.

Kobieta wstała powoli, ale nie dlatego, że do ziemi przygniatał ją słuszny wiek czy reumatyzm albo kłopoty z poruszaniem, ale dlatego, że od dawna niczego nie robiła spieszenie.

– Wystarczy spojrzeć na żółwia – mówiła. – Powoli chodzi, powoli je, te inne rzeczy też pewnie robi powoli i żyje kilka wieków. A weźmy takiego zająca. Cóż z tego, że wydaje się zwinny i gibki. Cóż z tego, że śmiga po trawie jak błyskawica. Marna to pociecha, skoro jego żywot jest tak krótki jak mgnienie oka. Wolę być

zółwiem. Niech się śmieją, ale za kilka lat... Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Właśnie tak odgrażała się swoim znajomym z domu seniora, do którego chodziła kilka razy w miesiącu. To oni zawsze powtarzali jej, że jeśli chce wyglądać młodziej, powinna ruszać się z werwą.

– Z energią u mnie wszystko w porządku. Sił też mi nie brak, tak samo jak piątej klepki, czego nie można powiedzieć o niektórych z nich – relacjonowała po powrocie do domu.

Jej córka Ellena, siedząca tuż obok, najchętniej zerwałaby się teraz ze swojego miejsca, żeby asekurować matkę, ale wiedziała, że Nina zmierzylaby ją przesywającym wzrokiem.

– Kto jak kto, ale ja pomocy jeszcze nie potrzebuję – powtarzała za każdym razem starsza pani, kiedy ktoś, najczęściej córka lub wnuki, które teraz siedziały po przeciwnej stronie, oferowały pomoc.

Jedno trzeba było przyznać. Nina faktycznie nie potrzebowała pomocy. Była sprawna fizycznie i umysłowo. Ba, jej umysł był ostry jak brzytwa, a pamięć nie szwankowała.

Podchodziła do każdego zdjęcia. Rzuciła na nie okiem, a potem przesuwała się do kolejnego. Na dłużej przystanęła przy tym, które zostało zapewne zrobione w latach czterdziestych ubiegłego stulecia.

Zmarszczyła brwi. Widać było, że zamyśliła się głęboko, jakby właśnie o czymś sobie przypominała. Już miała podejść do następnego, kiedy otworzyły się drzwi pokoju i szeroko uśmiechnięta młoda kobieta w eleganckiej garsonce zaprosiła zgromadzonych do gabinetu mecenasa. Postawny mężczyzna w średnim wieku czekał na nich, stojąc przy owalnym drewnianym stole.

– Zapraszam – wskazał ręką na tapicerowane krzesła.

Nina, Ellena oraz Greta i Leon usiedli za stołem.

– Czy napiją się państwo czegoś? Kawy, herbaty? Może czegoś zimnego? – zapytał po angielsku.

– Może coś mocniejszego – dodała Nina, czym wprawiła mężczyznę w zakłopotanie.

Zerknął na stojącą w drzwiach sekretarkę, jakby szukał u niej ratunku.

– Młody człowieku – zagadnęła Nina po niemiecku – chyba nie powie mi pan, że nie posiada w gabinecie żadnych procentów? Zbyt długo chodzę po tym świecie, żeby nie wiedzieć, że każdy adwokat, lekarz czy nawet dyrektor szkoły ma pełny bareczek dowodów wdzięczności od wiernych i zadowolonych klientów. I proszę nie żałować, tylko nalać czegoś gatunkowego i długoletniego, bo zapewniam, że nie zdołam wysłuchać tego, co ma nam mecenas do powiedzenia, całkiem na trzeźwo.

– Mamo – odezwała się Ellena po angielsku.

Od dawna nie rozmawiała po niemiecku, więc sprawiało jej to nieco trudności. Zresztą nigdy nie lubiła tego języka. Zdecydowanie bardziej wołała polski, którym wciąż posługiwano się w ich domu w Luizjanie.

Greta i Leon przyglądali się tej scenie skonsternowani. Nie bardzo wiedzieli, w czym rzecz. Po niemiecku nie mówili wcale, a polski był dla nich jedynie ciekawostką. Rozumieli go, potrafili nawet czytać, ale mówienie sprawiało im dość dużą trudność.

– Co mam? – odparła Nina. – Zaraz zobaczysz, że miałam rację. Proszę jej nie słuchać. Niech pije kawę, a najlepiej zróbcie jej zieloną herbatkę, ja wolę coś mocniejszego.

– Oczywiście – odezwał się mecenas, wpatrując się w pozostałą trójkę. – A dla państwa?

– Dla mnie wody – odezwała się zawstydzona Ellena. – A dla tej dwójki może sok albo colę, jeżeli można prosić.

Mecenas zerknął ukradkiem w stronę dwojga młodych ludzi. Chociaż musieli mieć już około dwudziestu lat, a może nawet więcej (z pewnością szkołę średnią mieli już za sobą), do tej pory nie odezwali się ani słowem. Najwidoczniej przywykli we wszystkim zdawać się na matkę i babkę. Wziął ze swojego biurka przygotowany wcześniej skoroszyt oraz dość grubą teczkę z dokumentami i podszedł do stołu. Usiadł naprzeciwko wpatrujących się w niego gości.

Tymczasem sekretarka wniosła tacę z napojami oraz szklankami, którą postawiła na stole, tak aby każdy mógł się poczęstować tym, na co ma ochotę. Tylko przed Niną postawiła szeroką szklanicę z grubym dnem wypełnioną ciemnobrązowym płynem. W małej szklaneczce, którą ustawiła tuż obok, kołysały się kostki lodu.

– Ach, cóż za cudowny aromat – odezwała się Nina, zaciągając się zapachem alkoholu. – Do rzeczy w takim razie – dodała po chwili, robiąc pierwszy solidny łyk.

Mecenas przyglądał się jej z ciekawością. Nina nawet się nie skrzywiła.

– Dobrze więc. Zacznijmy od początku. Niech formalności stanie się zadość. Chociaż już państwo wiedzą, jak się nazywam, pozwolę sobie przedstawić się raz jeszcze. Teraz osobiście. Nazywam się Walter Wander i jestem adwokatem, który specjalizuje się między innymi w prawie spadkowym. – Mecenas zrobił krótką przerwę, zapewne dla większego efektu.

Greta i Leon spojrzeli po sobie. Mecenas cały czas mówił do nich po angielsku, chociaż zdawał sobie sprawę, że Nina doskonale radzi sobie z niemieckim. Chciał, aby wszystkie zebrane osoby wiedziały, o czym mowa, a zdążył się już przekonać, że młodzi nie znają zbyt dobrze jego języka ojczystego.

– Pozwoliłem sobie wysłać do państwa list z prośbą o stawienie się w mojej kancelarii w Berlinie, ponieważ został tu złożony testament pana Rafaela Treskova, który...

– Skubaniec – szepnęła Nina po polsku.
– Słucham? – zapytał Wander.
– Skubaniec, powiedziałam, ale proszę sobie nie przeszkadzać, mecenasie. – Nina wyjaśniła spokojnie, po czym znowu łyknęła drinka.

Ellena potarła czoło z zakłopotania. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Wnuki Niny przyglądały się całej scenie z rosnącą ciekawością. Nie miały pojęcia, kim był Rafael Treskov i co babka może mieć z nim wspólnego.

– Jak już wspomniałem, pan Treskov... – ciągnął dalej mecenas.

– Przepraszam, że przerywam, ale muszę dać wyraz swojemu niezadowoleniu – wtrąciła Nina, zamykając usta Wanderowi. – Nie wspomniał pan w liście ani słowem, że chodzi o Treskova, gdyby się bowiem tak stało, nie kiwnęłabym palcem, żeby tu przyjechać. Państwa lakoniczny list pozostawił nas w niepewności i chociaż upierałam się, żeby zostać w domu, to moja córka nie dawała mi spokoju, podobnie jak wnuki, i wciąż namawiała do przyjazdu tutaj. Berlin jest ostatnim miejscem, w którym chciałabym się znaleźć. Od razu miałam złe przeczucia. Wiedziałam, że Treskov nie da mi spokoju nawet zza grobu. Mogłam być bardziej zdecydowana i zostać w domu. – Nina westchnęła głośno.

Od chwili, kiedy otrzymała list z niemieckiej kancelarii, której siedziba mieściła się w Berlinie przy Potsdamer Strasse 50, wiedziała, czego może się spodziewać. Pewnie gdyby nie lojalność wobec córki i wnuków, nigdy nie zgodziłaby się na opuszczenie Oak Alley, przy której stał jej piękny kolonialny dom. W małej wsi Vacherie w Luizjanie takich domów było na pęczki, ale to właśnie Rosewood spodobał się jej i Mikołajowi, kiedy zobaczyli go po raz pierwszy.

Ellena była wówczas małym dzieckiem. Nie pamiętała zachwytu, jaki na twarzach rodziców wywołał budynek, w którym dziewczynka się wychowała i w którym wraz z mężem i dziećmi mieszkała do dziś.

Nina często wracała we wspomnieniach do tamtych szczęśliwych, ulotnych chwil. Do Luizjany pojechali przez przypadek. Na wakacje. Z dała od zgiełku Nowego Jorku, do którego trafili na początku lat pięćdziesiątych. Wybrali Greenpoint, wówczas cichy i industrialny, w którym panował ład i porządek. Nina czuła się tam wyobcowana, osamotniona. Wśród uliczek odnalazła polskie sklepy, restauracje, a nawet kościół, do którego w tamtym czasie często zachodziła. Wtedy prawie wcale nie używała niemieckiego. Z całego serca dziękowała losowi, że udało jej się opanować polski w miarę przyzwyczajenie.

Lubiła tamto nowojorskie mieszkanie w kilkupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. To właśnie tam na świat przyszła Ellena. To tam zaczęli dorabiać się pierwszych pieniędzy. To tam, w małym sklepiku, jej mąż Mikołaj, wracając z pracy, kupił los na loterii. Jak się okazało – szczęśliwy. Nie była to jakaś bajeczna suma, ale znacząca.

– Może wreszcie wyjedziemy na wakacje gdzieś dalej niż tylko poza granice miasta? – zapytał wówczas Mikołaj.

Nina nie miała nic do powiedzenia. Musiała się zgodzić, ponieważ kiedy Ellena usłyszała, że szykuje się wielka wyprawa, ochoczo podchwyciła ten pomysł. Cieszyła się niezmiernie, że wreszcie będzie się mogła pochwalić w szkole, że odbyła wspaniałą podróż. Że coś zwiedziła. Że coś widziała. Jednym słowem, szykowała się przygoda życia.

I faktycznie tak się stało.

Niewinny wyjazd skończył się przeprowadzką. W pamięci Niny na zawsze została chwila, kiedy jej oczom ukazało się Rosewood. Prowadziła do niego aleja wiekowych dębów, rozłożystych,

o grubych pniach, do których objęcia potrzeba było kilku ludzi; z długimi gałęziami i mnóstwem szeleszczącego kojąco listowia. Naliczyła czternaście takich okazałych drzew. A na końcu zwirowej drogi, którą ocieniały dęby, stał dom, wzniesiony na początku XVIII wieku. Zachwyciły ją balkony ciągnące się wzdłuż pierwszego piętra i kolumny, które ustawiono przed głównym wejściem.

– Czułabym się tu niczym Scarlett O’Hara – powiedziała, patrząc na zachwyconego Mikołaja, który trzymał rękę oniemiałej z wrażenia Elleny. – Zamknij usta, kochanie, bo ci mucha wleci – zaśmiała się na widok córki.

A potem zauważyła znajdującą się przy posiadłości tabliczkę „Na sprzedaż”. Zerknęła na Mikołaja i już wiedziała. On też o tym myślał. Skinął głową. Jeszcze tego samego dnia wybrali się do biura nieruchomości zapoznać się ze szczegółami. Kilka tygodni później wprowadzili się do Rosewood.

Od tamtej chwili Nina ani razu nie opuściła swojego domu. Nie wyjeżdżała dalej niż do Nowego Orleanu.

– Nigdy nie chciałaś zwiedzać? – zapytała ją kiedyś Greta.

– Dziecko – odparła – zwiedzać możesz nawet tu. Marzysz o dalekich wypadach, a czy odwiedziłaś wszystkie zakamarki naszego miasteczka? Czy byłaś w miasteczku obok? Zajrzałaś do Nowego Orleanu?

Od tamtej pory ani Greta, ani Leon nigdy już nie zagadywali babki o jej brak zamiłowania do podróży. Nina należała do Rosewood, tak jak Rosewood należało do Niny. Aż do teraz...

Teraz siedziała w sali konferencyjnej niemieckiej kancelarii, znajdującej się w Berlinie, którego miała nadzieję już nigdy więcej nie oglądać.

– Mamo? – Głos Elleny przebił się do zamyślanej Niny, która spjrzała niewidzącym wzrokiem na córkę. – Mamo, dobrze się czujesz? Może chcesz odpocząć?

– Nie rozumiem, dlaczego starszych ludzi od zawsze męczy się głupimi pytaniami. Czy dobrze się czują? Czy chcą odpocząć? Czy nie jest im zimno albo za ciepło? Czy nie jest im słabo? – Rozejrzała się po sali. – Skoro udało nam się aż tyle przeżyć, to raczej wiemy, kiedy coś nam dolega i czego chcemy, chyba że mózg szwankuje. Czy mój szwankuje? – zapytała, patrząc zirytowana na Ellenę. – Tak myślałam – mówiła dalej, nie dając jej odpowiedzi. – Ale tak, nie czuję się dobrze, przy czym nie ma to nic wspólnego ani z moim wiekiem, ani z moim zdrowiem. Szlag mnie trafia, że znowu tu jestem.

W pokoju zapanowała krępująca cisza. Nikt nie miał odwagi się odezwać. Nawet mecenas Wander.

W końcu jednak ktoś musiał podjąć rozmowę. Odchrząknął więc, złapał za pierwszy lepszy dokument i zaczął.

– Jeżeli chodzi o niemieckie prawo spadkowe...

– Mecenasie. – Nina wstała powoli z krzesła. – Pan szanowny wybaczy, ale chciałabym skończyć na dziś. Muszę się z tym przespać, jak to mówią. Poza tym skoro już tu jestem, to zanim cokolwiek pan przeczyta i powie, chciałabym się przejść po mieście. Nie tak je zapamiętałam i chociaż szczerze nie cierpię wszystkiego co niemieckie, bez obrazy – dodała, robiąc charakterystyczny gest dłonią w stronę Wandera – to jednak chciałabym zmasać tamto niekorzystne wrażenie.

– Oczywiście. – Adwokat podniósł się ze swojego miejsca. – Proszę zaczekać. Sprawdzę w kalendarzu, jak wygląda mój jutrzejszy dzień, i pozwolę sobie zaprosić państwa raz jeszcze.

Wyszedł szybko, żeby wrócić po chwili. W ręce trzymał elegancki, oprawiony w ciemną skórę notatnik.

– Czy godziny popołudniowe państwu odpowiadają?

– Każda pora nam odpowiada. – Nina uśmiechnęła się po raz pierwszy podczas całego spotkania. – Byle nie zrywał pan nas

z łóżek bladym światem. Zapewniam, że nie wstaję z kurami jak stara baba. I nie kładę się razem z nimi spać.

Wander odpowiedział uśmiechem. Pochylił się nad kalendarem i coś w nim zapisał, skrobiąc po stronicach eleganckim piórem ze złotą stalówką.

– A więc zapraszam jutro na siedemnastą.

– Jesteśmy umówieni. – Nina podeszła do adwokata. – I proszę nie brać moich słów do siebie. Nie pana wina, że urodził się pan Niemcem, zresztą moja też nie. Tak, trudno uwierzyć, ale jestem Niemką. – Po tych słowach wyciągnęła do niego rękę.

Wander ujął jej pomarszczoną dłoń. Miała silny i wciąż mocny uścisk, a jej oczy były pełne życia, ale i smutku. Skrywały się w nich żal i gorycz związane z bolesnymi wspomnieniami. Nie winił jej za ostry język. Potrafił to zrozumieć.

– Tak po prawdzie Niemcem jestem tylko w połowie. Mój ojciec był Polakiem, ale nie mówię dobrze po polsku. Coś rozumiem, lecz z mówieniem idzie mi jak po grudzie.

– *Ja, Herr Wander, niemand ist perfekt* – odparła Nina.

Chwilę później mecenas został sam.



Szli w milczeniu. Nina z przodu, Ellena i wnuki kilka kroków za nią. Nie pytali o cel spaceru, po prostu ruszyli za seniorką, dając jej przestrzeń, czas i wolny wybór. Zbliżali się do placu Poczdamskiego.

Kiedy przyszedł list z Niemiec, Greta i Leon bardzo się ucieszyli. Nie wyobrażali sobie, że babcia może polecieć do Europy tylko w towarzystwie mamy.

– Skoro jest taka okazja, to chcę z niej skorzystać. – Z emocji na policzkach Grety pojawił się rumieniec.

Z niecierpliwością wyczekiwali wyjazdu. I wreszcie tu byli. Daleko od domu. Na innym kontynencie. W innym kraju, w innej przestrzeni.

Dla Greta wszystko było zachwycające. Nawet ten ruch, ten brak spokoju, ten drażący rytm miasta, którego odgłosy nie gasły zapewne nawet w nocy. Było głośno, tłoczno, spieszenie i brakowało świeżego powietrza.

– W tym hałasie nawet nie słyhać śpiewu ptaków – żaliła się Ellena, która uwielbiała każdego ranka usiąść z filiżanką kawy na balkonie własnego domu.

– A wiecie, że po zburzeniu muru berlińskiego odbył się koncert, o tam – odezwała się nagle Nina, która zatrzymała się w pół kroku, tak że rozglądająca się na boki Greta prawie na nią wpadła. Mówiąc to, wskazała na ulicę teraz wypełnioną samochodami. – Pamiętam, że jedna z naszych sąsiadek pojechała z tej okazji specjalnie do Niemiec. Stała tu w tłumie, wiwatując jak cała reszta. Cieszyli się z upadku muru. Kogóż tu nie było... – Zamilkła na chwilę. – Zlecieli się tu jak muchy do gówna. Gwiazdy filmowe, muzyczne. Wielkiego i małego formatu. Politycy, sportowcy i zwykli ludzie. Zabawa, tańce, swawola. I radość. – Ostatnie słowa wypowiedziała ze złością, jakby przez zaciśnięte zęby.

Zatrzymali się przy wejściu na dworzec kolejowy. Ludzie omijali ich z każdej strony. Nikt nie zwracał uwagi na czwórkę stłoczonych ludzi. Nikt nie patrzył na starszą kobietę, która wciąż tłamsiła w sobie wściekłość.

– To chyba dobrze, że go zburzyli, prawda? – Leon odważył się odezwać.

– Och, dziecko, dziecko. Jacy wy wszyscy jesteście naiwni. – Nina pokiywała głową z niedowierzaniem. – Pewnie takich słów nie usłyszysz od Niemców, a przecież wasza babka urodziła się Niemką,

ale powiem wam, że dawno przestałam się nią czuć. Z pewnością to zasługa najpierw mojego ojca, a potem Mikołaja, to znaczy waszego dziadka. Kiedy już nauczyłam się mówić po polsku, to ciągle ćwiczyłam, ćwiczyłam i ćwiczyłam, aż w końcu mogłam powiedzieć, że mówię jak Mikołaj. Od lat nie rozmawiałam po niemiecku i było mi z tym dobrze. A co do twojego pytania, kochanie... – Odwróciła się w stronę Leona. – To źle. To bardzo źle, że Niemcy znowu są jednością. To źle dla świata. – Mówiąc to, kiwała głową ze strapioną, zasmuconą miną. – Ja już pewnie nie dożyję – szeptała do siebie, ruszając z miejsca – ale kto wie, co czeka was albo wasze dzieci...

Jej słowa zawisły w powietrzu. Nikt nie odważył się odezwać. Znowu szli w milczeniu. Nina z przodu, sama, ale nie osamotniona. Pograżona we wspomnieniach. Odgłos natrętnych klaksonów, pokrzykiwania, miejski hałas, szum lecącego gdzieś w górze samolotu sprawiły, że nagle niebo znów stało się niespokojne. Miejsce wysokich szklanych domów zajęły gruzowiska i sterty kamieni. Huk i niepokojący odgłos oddalonego grzmotu zwiastował nadlatujące bombowce.

Która to już fala? Nina przestała liczyć. Po cóż tu wracali? Nie, musieli to zrobić, chociaż błagała ojca, żeby zostali.

– Wiesz, że nie możemy – powiedział jej wtedy, kiedy w środku nocy, z jedną walizką w rękę i niewielką ilością prowiantu, wymykali się z domu niczym złodzieje.

Alianckie samoloty zgotowały im prawdziwe piekło na ziemi, ale nie winiła ich za to. Nie, dopingowała ich w tej wytrwałości. W walce. Modliła się o zakończenie wojny, którą jej ojciec potępiał od samego początku.

– Mam nadzieję, że nie afiszuje się ojciec ze swoimi poglądami? – Głos Rafaela, starszego brata Niny, ciął niczym ostry nóż. – Dobrze ojciec wie, że taką gadką, rodem z żydowskiego grajdołka,

może ojciec zaszkodzić nie tylko sobie, ale nam wszystkim, i proszę mi wierzyć, że nawet moje znajomości na nic się zdadzą, kiedy zostanie wydany nakaz aresztowania. Więc może dla własnego dobra, razem z Niną, która chyba zapomniała niemieckiego, wróci ojciec na Śląsk. Matka zostanie ze mną. Jak zawsze.

I wrócili.

Dzięki Bogu, w końcu zostawili Berlin za sobą. Nie tęskniła ani za miastem, ani za domem, o którym wcale nie myślała. W skrytości ducha przyznawała, że nie tęskni za matką, która zawsze była dla niej oschłą, a przez lata, które spędziła z ojcem na Śląsku, stały się sobie jeszcze bardziej obce. Nie tęskniła też za bratem, którego fascynacji politycznych ojciec nie podzielał i nie rozumiał.

Szczerze mówiąc, nie cierpiała Rafaela. To uczucie było wzajemne. On nie znosił jej tak samo, a może nawet bardziej niż ona jego.

Ale wreszcie przyszedł czas, że wrócili do Berlina. Kiedy wojna miała się ku końcowi. Kiedy bombardowania nie ustawały. Kiedy kolejne eksplozje następowały jedna po drugiej, a na zewnątrz nawet w nocy robiło się od nich jasno jak w dzień.

– Mamo! Mamo?! – Ellena potrząsnęła ramieniem Niny.

– Co?

– Dobrze się czujesz? Przystanęłaś tak nagle, że tamten przechodzień wpadłby ci na plecy. Chcesz wrócić do hotelu?

Nina westchnęła. Na nic zdawały się jej tłumaczenia, że jak będzie miała ochotę odpocząć, względnie położyć się do łóżka, to powie o tym dosadnie, głośno i bez owijania w bawełnę.

Machnęła więc tylko ręką i ruszyła w stronę alei Unter den Linden.

– Chodźmy pospacerować – dodała po chwili. – Mój ojciec ją uwielbiał.

Ellena i dzieci dotrzymywały jej kroku, tak aby słyszeć, co do nich mówi.

– Kiedy mieszkaliśmy w Berlinie, zabierał mnie tu często na spacer, opowiadając o historii tego miejsca. Najbardziej lubił słuchać szumu drzew. Całą aleję porastały monumentalne lipy, stąd jej nazwa. Ponoć pierwsze z nich posadzono w połowie XVII wieku. Rosły sobie spokojnie, aż ktoś wpadł na pomysł, aby te ze wschodniej strony usunąć. I tak drzewa zostały tylko po stronie zachodniej. Chociaż te, które dziś tu się znajdują, to nowe nasadzenia. Te stare, historyczne, niestety nie wytrzymały zderzenia z wojenną rzeczywistością.

Nina zatrzymała się przy jednej z lip. Dotknęła szorstkiej kory.

– Jednak przyjemnie wyobrazić sobie, że te drzewa stoją tu już od wieków, prawda? Nie od dekad, a od wieków właśnie.

Spacerowali jeszcze przez jakiś czas. Przyglądali się wystawom eleganckich sklepów, wykwintnych restauracji i kawiarni, z których dolatywał aromat kawy. W końcu dotarli do hotelu Adlon, który został oddany do użytku zaledwie sześć lat po rozpoczęciu XX wieku, a w którym przez pewien czas mieszkał jej dobry znajomy Tristan Borchardt. Samo jego wspomnienie wywoływało cieplejsze uczucia i radość. A pomyśleć, przemknęło jej przez głowę, że gdyby nie Kaufmann, nigdy by go nie poznała.



– Miło mi państwa widzieć ponownie.

Mecenas Wander uśmiechnął się szeroko, kiedy sekretarka wprowadziła Ninę i jej najbliższych do sali konferencyjnej, w której siedzieli wczoraj.

– Panie mecenasie – odezwała się Nina – przejdźmy może od razu do sedna. Żeby niepotrzebnie nie przedłużać. My zaoszczędzimy

panu czas, a pan nam, a w zasadzie mnie, nerwów. I proszę nie brać tego wszystkiego do siebie. Ot, takie gadanie starej baby.

– W takim razie zacznę może od wyjaśnienia kilku kwestii związanych z prawem spadkowym w Niemczech. Kiedy zmarły pozostawia po sobie majątek, jakikolwiek, w pierwszej kolejności ustalamy, czy przygotował testament. W przypadku pana Treskova nie było takiej konieczności. Testament, który leży tu przede mną – mówiąc to, Wander położył dłoń na eleganckiej teczce – został przygotowany osobiście przeze mnie. Pan Treskov nie miał żony ani dzieci...

– Wcale mnie to nie dziwi. – Nina weszła prawnikowi w słowo. – Przepraszam, proszę kontynuować.

– Jak już wspomniałem, pan Treskov nie miał najbliższej rodziny. Ostatnia wola mojego klienta została spisana ręcznie z zachowaniem wszelkich wymogów prawnych. Pan Treskov zostawił po sobie majątek w Niemczech. Nie posiadał majątku poza granicami naszego kraju, co ułatwia sprawę dziedziczenia. Dodam, że mój klient nie pozostawił po sobie długów finansowych.

– Jedyne sumienia. – Nina nie potrafiła się powstrzymać od sarkastycznego komentarza.

Wander odchrząknął.

– W takim razie, skoro podstawowe formalności mamy już za sobą, pozwolą państwo, że przejdziemy do kwestii zasadniczej.

Mecenas zawiesił głos, otworzył teczkę i wyciągnął z niej po dłużną kopertę.

– W ręce trzymam list, który pan Treskov napisał do siostry, do pani Niny. Był przekonany, że nie zechce go pani przeczytać, niemniej prosił, abym spróbował go pani przekazać. Powiem więc, bardzo nalegał. Wręcz zobligował mnie do tego, że podejmę wszelkie starania, aby trafił do pani rąk.

– Taki był pewny tego, co zrobić? – Pytanie Niny było retoryczne. – Jakby znał mnie całe życie... – prychnęła.

W duchu przyznała Rafaelowi rację. Nie miała ochoty czytać jego wypocin, ale słowa mecenasa, że brat przewidział jej kroki, zaważyły na podjęciu decyzji.

– Proszę mi go dać – wyciągnęła rękę. – Widzi pan, mecenasie, wcale nie musiał się pan trudzić.

Schowała list do torebki.

– To nie tak, pani Nino – odezwał się jakby skruszony. – Jeżeli wzięła pani list, musi go pani przeczytać. W mojej obecności. Niestety, proszę mi wybaczyć słowa i śmiałość, ale jaką mam pewność, że go pani nie wyrzuci? Mojemu klientowi zależało, żeby go pani przeczytała, a ja obiecałem wypełnić misję.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Wander leżałby trupem. Nina z ociąganiem sięgnęła po list. Otworzyła kopertę z niecierpliwością rozłożyła szeleszczące kartki.

– Okulary? – zapytał mecenas.

– Nie potrzebuję – ofuknęła go urażona.

Wander skinął głową w geście przeprosin, a potem jakby skulił się na zajmowanym krześle. W sali zapadło ciężkie, namacalne milczenie.

Nina czytała słowa, które kierował do niej brat. Można powiedzieć, że były to jego pierwsze słowa, jakie za pomocą listu wypowiedział od wielu dekad. W końcu Nina złożyła stronicę.

– Czy mam wydać jakiś komentarz do tego steku bzdur? Czy mam powiedzieć, że mu wybaczam? Otóż nie, nie wybaczam. I żałuję, że skurczybyk kopnął w kalendarz i nie zdążyłam zobaczyć się z nim, zanim to zrobił, bo jak mi Bóg miły, sama wysłałabym go do diabła.

Ellena głośno przełknęła ślinę. Greta zaczęła nerwowo chichotać, a Leon zapatrzył się gdzieś przed siebie.

– To może odczytam testament? – ni to stwierdził, ni zapytał mecenas Wander.

Czuł, że zaczyna się pocić. Od dawna nie miał tak dziwnej sprawy. Z jednej strony chciał pozbyć się tej nieokrzesanej starszej kobiety, z drugiej górę brała ciekawość. Miał ochotę zapytać otwarcie, co się stało, że pomiędzy rodzeństwem utworzyła się tak wielka przepaść, że nawet śmierć i szczere wyznanie win oraz prośba o przebaczenie nie były w stanie zmienić nastawienia młodszej siostry do starszego brata.

– Pan Treskov zapisał pani, Ninie Achtelik, swojej jedynej spadkobierczyni, co następuje... – Wander zaczął czytać, ale Nina błędziła myślami gdzie indziej.

W obliczu śmierci Rafaela, swojej starości i zbliżającego się nieuchronnie końca zastanawiała się, czy gdyby świat wtedy, kiedy byli młodzi, wyglądał inaczej, to czy i oni byłiby inni? Czy byłiby rodzeństwem z prawdziwego zdarzenia, takim, o jakim zawsze marzyła? Któż bowiem dziewczynka nie marzy o starszym bracie?

Tego się już nie dowiem, pomyślała.

Gdybanie nie leżało, przynajmniej do tej pory, w jej naturze, dlatego odpędziła natarczywe myśli i wreszcie skupiła się na słowach Wandera.



– Nie mogę w to uwierzyć, takie piękne miejsce w samym sercu wielkiego, tętniącego życiem miasta – zachwycała się Ellena, spacerując wraz z Niną oraz dziećmi urokliwymi uliczkami berlińskiej dzielnicy Wannsee.

Szli powoli szeroką ulicą, wzdłuż której wznosiły się niesamowicie piękne domy. Perełki architektoniczne. Greta i Leon nie wiedzieli, co podoba im się bardziej. Czy ciąg niesłychanie okazałych willi, czy widok na rozciągające się nieopodal jezioro.

– Czy idziemy gdzieś w konkretnym celu? – zapytała Ellena, spoglądając na ściągnięte czoło milczącej Niny.

– Oczywiście, że idziemy w konkretnym celu. Nie myślisz chyba, że mam ochotę na bezsensowne spacerki. Najchętniej wsiadłabym do samolotu i wróciła do domu, ale oczywiście Rafael zawsze musi mieć ostatnie zdanie. Nie potrafił dać za wygraną. Nawet zza grobu wyciąga po mnie swoje niemieckie, faszystowskie łapska.

Nina gotowała się ze złości. Ostatni raz była w tym miejscu w 1945 roku. Kiedy wraz z ojcem wrócili do Berlina. Zapamiętała tamten dzień.

Byli wyczerpani. Miała wrażenie, że droga nigdy się nie skończy. Nie pocieszało jej nawet to, że nie byli osamotnieni. W stronę niemieckiej granicy ciągnęły nieprzebrane tłumy uciekających. Wystraszeni, głodni, zdziczali. Z przerażeniem w oczach. Płaczące kobiety, wydzierające się z głodu dzieci. Wściekli, gniewni mężczyźni, których ponosiły emocje.

Dni i noce. Strachu, paniki, głodu, zimna.

Aż w końcu dotarli.

– Nie przypuszczałem, że nasz dom pozostanie cały. – Ojciec nie był wierzący, ale tamtego dnia chyba modlił się gorąco i głęboko, prosząc o miejsce, w którym mogliby odpocząć. Schować się przed całym światem. Ona też się modliła. Szli z duszą na ramieniu. Właściwie to przemykali ulicami. Mijali spanikowanych ludzi, którzy nie patrzyli przechodniom w oczy. Wszyscy przechodzili obok siebie ze spuszczonej głowami.

Odwracali wzrok. Nie mówili nic. Byli jak duchy. Oni też stali się takimi zjawami. W końcu stanęli przed domem.

Ojciec padł na kolana, schował twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Poczł niewyobrażalną ulgę. Willa wyglądała na nienaruszoną.

Nina wpatrywała się w okna, w których wisiały zasłony. Brudne, szare, jakby nikt nie prał ich od wielu miesięcy. Nagle zauważyła, że jedna z nich się poruszyła.

– Ktoś jest w domu – szepnęła do ojca, szarpiąc go za ramię.

Dorian Treskov zerwał się na równe nogi. Z impetem ruszył w stronę zamkniętej furtki. Szarpnął za klamkę, spodziewając się, że będzie zamknięta, ale ta nie stawiała oporu. Otworzyła się na oścież. Weszli na wybrukowaną alejkę prowadzącą do pięknych dwuskrzydłowych drzwi, przed którymi znajdowało się kilka kamiennych schodów układających się w rozłożyste półkole. Byli już przy drzwiach, kiedy te rozwarły się szeroko.

– Chciałoby się powiedzieć, że wrócił syn marnotrawny, ale to przecież nie syn, a ojciec.

Rafał Treskov stał w drzwiach ich rodzinnego domu. Wyglądał źle. Schudł, zapuścił się. Na zwykle gładko ogolonych policzkach pysznił się kilkudniowy nieprzycięty zarost, który tylko pogłębiał obraz nędzy i rozpacz. Nie nosił munduru, którym jeszcze do niedawna tak się afiszował. Z którego był tak dumny. W jego oczach czaił się paniczny strach. Nina widziała nie dumnego mężczyznę, ale zastraszone zwierzę schwywane w pułapkę.

– Wpuścisz nas czy nie? – zapytał ojciec.

Rafał odsunął się, robiąc przejście. Drzwi zatrzasnęły się z impetem. Stali przez chwilę w wielkim hallu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nina miała wrażenie, że widzi obcego człowieka. Nigdy nie miała z bratem dobrych relacji, a wojna i jego poglądy tylko ich od siebie oddaliły, tak jak matka wiele lat temu oddaliła się od ojca.

– Gdzie Dora? – zapytał ojciec, patrząc na syna.

– Matka jest u dziadków. Nadal w Hamburgu.

– A ty nie razem z nią? – zakpiła Nina.

– Nie, ja mam zamiar wyjechać z Niemiec. Daleko stąd i wam radzę zrobić to samo. Właściwie to macie szczęście. Dziś w nocy

wyjeżdżam. Wszystko mam ustalone i nie myślcie, że zmienię plany z waszego powodu.

– Jakież to typowe. Szczury zawsze pierwsze uciekają z tonącego statku.

Nina nie potrafiła ugryźć się w język.

Rafał zagryzł zęby. Miała wrażenie, że chciał ją uderzyć. Powstrzymała go tylko obecność ojca, który nie mieszał się do wymiany zdań między rodzeństwem.

Ojciec ruszył w stronę kuchni. Oboje z Niną od wielu godzin nic nie jedli. Miał nadzieję, że znajdzie się coś do przegryzienia.

– Mamo, czy to tu? – zapytała Ellena, wyrrywając matkę z zamyslenia.

– Nie, to Dom Żeglarza – odparła Nina, ruszając dalej.

Greta i Leon na dłuższą chwilę zatrzymali się przy tej okazałej willi. Nad głównymi drzwiami zauważyli tabliczkę informującą, że budynek wzniesiono w 1910 roku.

– Kiedyś uznano ten dom za najpiękniejszy budynek klubu żeglarskiego w Europie, ale mnie osobiście nigdy się nie podobał – rzuciła Nina przez ramię, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Ten tutaj, wyglądający tak, jakby wybudował go Henryk VIII, to dom Springerów. Nie, nie tych od gazet. Pierwszy właściciel był wydawcą książek o tematyce technicznej, u którego zaopatrywał się mój ojciec.

Nina szła dalej swoim powolnym tempem i kontynuowała opowieść.

– Poszłam tam raz z tatą, ale to było tak dawno, że wszystkie wspomnienia już się zatartyły, chociaż pamiętam Juliusa Springera, seniora rodu. Zapadł mi w pamięć, ponieważ wyglądał jak Święty Mikołaj. Miał gęstą białą brodę, elegancko przystrzyżoną, i zawsze dobrze ułożone śnieżnobiałe włosy, które układały się w delikatne

fale. Jako mała dziewczynka wyobrażałam go sobie w długiej biskupiej szacie, z laską w rękę i infułą na głowie.

– Ale tak nie wygląda Mikołaj – odezwała się Greta.

– Właśnie tak wygląda Mikołaj. Dziadek w czerwonym kubraczku to przedstawiciel Coca-Coli albo Dziadek Mróz, na pewno nie Święty Mikołaj.

Nina zamilkła na chwilę, ale już po kilku krokach skinęła głową w kierunku imponującego budynku.

– Tu mieszkał malarz impresjonista Max Libermann, dla którego wstępne szkice budynku robił mój ojciec, potem jednak dostał inne zlecenie i nie wiedzieć czemu, ostatecznie sprawę przejął Paul Baumgarten, z którym ojciec znał się dość dobrze, w końcu to właśnie on był przez pewien czas jego mentorem.

Szli jeszcze przez kilkanaście metrów, aż wreszcie zatrzymali się przy domu, którego fasada skrywała się za małym, kutym płotem.

– To twój dom, babciu? – zapytała Greta.

– To jest twój dom? – dopytywał z niedowierzaniem Leon.

– Mamo, tu się wychowałam? – dodała Ellena.

– Tak, to jest dom mojej rodziny, ale nigdy nie traktowałam go jako domu rodzinnego. Nigdy za nim nie tęskniłam. Nie budzi we mnie żadnych miłych wspomnień. Żadnych ekscytacji. Nic, ponad rozczarowanie, żal i gniew.

– Nie mogę w to uwierzyć. Ten dom jest fantastyczny, no może nie tak piękny jak Rosewood, ale... – Greta nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

Była podekscytowana, podobnie jak jej brat i matka.

– Pamiętajcie, że jeszcze musimy jechać do Hamburga? Tam też podobno coś jest. – Leon najchętniej od razu wsiadłby do pociągu i wyruszył w podróż. Ciekawość go rozpierała. Wciąż pamiętał słowa mecenasa Wandera, który przeczytał, że Rafael Treskov pozostawił w spadku magazyn w Hamburgu w dzielnicy Speicherstadt,

portowej części miasta. Tam też mieściła się siedziba jego firmy kupieckiej, która z najodleglejszych zakątków świata sprowadzała do Europy egzotyczne, drogie przyprawy i była jedną z czołowych firm w tej branży.

– Firma pana Treskova działa nadal, pomimo śmierci jej założyciela i prezesa. Funkcję pełniącego obowiązki przejął jego zastępca. Zapewne oczekują decyzji spadkobiercy, czyli pani – mówił na spotkaniu adwokat.

Nina pokiwała głową. Nie znała się na prowadzeniu firmy. Nie miała zamiaru się nią zajmować. Najchętniej od razu pozbyłaby się kłopotu.

– Oczywiście, dopuszcza się możliwość sprzedaży przedsiębiorstwa – Wander najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Babciu, babciu! – Leon podszedł do Niny, która zastygła przy furtce z ręką na finezyjnie rzeźbionej klamce. – Co zrobisz z firmą, której teraz jesteś właścicielką?

– Sprzedam – ucięła krótko, nie mając w tej chwili ochoty rozmawiać na ten temat.

Westchnęła głęboko, jakby chciała w ten sposób nabrać sił, a potem pchnęła furtkę i ruszyła w stronę głównych drzwi, dzwoniąc trzymanym w rękę pękiem kluczy.

Szła na spotkanie wielu wspomnień, o których przez długie dekady starała się nie myśleć.